

JEŚLI CHODZI O THRILLERY, TO GARDNER RZĄDZI.

Lee Child

A doll with bright orange hair and a pink dress lies on a dark, textured wooden surface. The doll's face is pale with a blue eye and a small cross for a mouth. The background is a dark, weathered wooden plank with green and red paint splatters.

LISA GARDNER KOCHAĆ MOCNIEJ

Mąż zastrzelony. Córka zaginiona.
A ty jesteś maszynką do zabijania.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LOVE YOU MORE

Copyright © by Lisa Gardner, Inc. 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Wydawnictwo Sonia Draga 2024

Korekta: Dorota Jakubowska i Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: © Tim Robinson / Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

KOGO KOCHASZ?!

To pytanie, na które każdy powinien znać odpowiedź. Pytanie, które nadaje sens życiu, wyznacza kierunek przyszłości, rządzi niemal każdą minutą twojego dnia. Proste, gładkie, ujmujące.

Kogo kochasz?

Zadał mi to pytanie i zastanawiając się nad odpowiedzią, poczułam, jak cięży mi służbowy pas, jak krępuje mi ruchy kamizelka kuloodporna i jak ciasny jest kapelusz od munduru, z rondem zsuniętym nisko na czoło. Powoli opuściłam rękę, zaledwie muskając palcami rękojeść sig sauera, który spoczywał w kaburze.

– Kogo kochasz?! – krzyknął znowu, jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywie.

Moje palce tylko dotknęły służbowej broni i natrafiły na jedną z czarnych skórzanych szlufek, które podtrzymywały mi pas na biodrach. Rzępy puszczały z głośnym trzaskiem, kiedy odpinałam je jeden po drugim. Następnie sięgnęłam do metalowej klamry i po chwili dziewięciokilogramowy pas, obciążony pistoletem, paralizatorem i teleskopową pałką, zsunął się z moich bioder i zawisł między nami.

– Nie rób tego – wyszeptałam, próbując po raz ostatni przemówić mu do rozsądku.

– To nie wystarczy – odparł z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. – Już za późno.

– Gdzie jest Sophie? Co zrobiłeś?

- *Pas. Na stół. Natychmiast.*
- *Nie.*
- *Broń. Połóż ją na stole. Ale już.*

W odpowiedzi stanęłam szerzej na nogach. Znajdowałam się na środku kuchni, z pasem wciąż w lewej ręce. Cztery lata mojego życia, podczas których patrolowałam autostrady Massachusetts, zobowiązana przysięgą, by ochraniać i bronić. Miałam po swojej stronie wyszkolenie i doświadczenie.

Mogłam sięgnąć po sig sauera. Zdobyć się na to, złapać broń i otworzyć ogień.

Pistolet tkwił w kaburze pod tak nieporęcznym kątem, że jego wyciągnięcie zajęłoby mi kilka bezcennych sekund. A on przyglądał mi się bacznie, czekając na jakiś podejrzaný ruch. Niepowodzenie mogło mnie drogo kosztować.

Kogo kochasz?

Miał rację. Ostatecznie do tego wszystko się sprowadzało. Kogo kochasz i jak dużo jesteś w stanie dla niego zaryzykować.

– *Broń! – zagrzemiał. – Ale już, do cholery!*

Pomyślałam o mojej sześciolatniej córeczce, o zapachu jej włosów, o jej szczupłych ramionach oplatających moją szyję, o dźwięku jej głosu. „Kocham cię, mamusi”, szeptała co wieczór, kiedy kładłam ją do łóżka.

Też cię kocham, skarbie. Kocham cię.

Jego ręka drgnęła, gdy niepewnie sięgnął w stronę mojego pasa i przypiętej do niego broni.

Ostatnia szansa...

Spojrzałam mężowi prosto w oczy. Trwało to może ułamek sekundy.

Kogo kochasz?

Podjęłam decyzję. Położyłam policyjny pas na kuchennym stole. A on chwycił sig sauera i strzelił.

Rozdział 1

DETEKTYW SIERŻANT D.D. WARREN mogła czuć się dumna ze swoich wybitnych zdolności śledczych. Po przeszło dwunastu latach służby w bostońskiej policji wiedziała, że badając miejsce zbrodni, nie wystarczy się tylko rozejrzeć i zasięgnąć języka, ale trzeba też zaangażować w dochodzenie wszystkie zmysły. Czuła gładki otwór wywiercony w gipsowej ścianie przez rozgrzany i wirujący pocisk wystrzelony z dwudziestkidwójki. Nasłuchiwała dobiegających zza ścian głosów sąsiadów, wiedziała bowiem, że jeśli będzie w stanie ich dosłyszeć, to i oni na pewno słyszeli, co tu się działo.

D.D. zawsze przyglądała się dokładnie, jak upadło ciało: czy poleciało do przodu, czy do tyłu, czy obróciło się lekko na bok. Starła się wychwycić cierpką woń prochu, która utrzymywała się w powietrzu jeszcze przez dwadzieścia albo trzydzieści minut po ostatnim strzale. Wiele razy udało się jej oszacować czas zgonu na podstawie zapachu krwi, który – podobnie jak w przypadku świeżego mięsa – z początku był łagodny, ale z każdą godziną stawał się coraz cięższy i bardziej ziemisty.

Tego dnia jednak nie zamierzała robić żadnej z tych rzeczy. Leniwy niedzielny poranek spędzała ubrana w szare spodnie od dresu i przydługą flanelową koszulę Alexa. Siedziała przy

stole w jego kuchni i ściskając masywny fajansowy kubek z kawą, liczyła powoli do dwudziestu.

Doszła do trzynastu. Alex zatrzymał się właśnie przy drzwiach wejściowych, by owinąć szyję niebieskim szalikiem.

Zrobił to, zanim doliczyła do piętnastu. Teraz sięgnął po czarną wełnianą czapkę i skórzane rękawiczki. Temperatura na zewnątrz spadła do minus sześciu stopni. Ziemię pokrywała dwudziestocentymetrowa warstwa śniegu, a na koniec tygodnia zapowiadano kolejne obfite opady. Marzec w Nowej Anglii wcale nie oznaczał nadejścia wiosny.

Cały dzień Alexa wypełniały zajęcia w akademii policyjnej, gdzie uczył studentów między innymi takich rzeczy jak analiza miejsca zbrodni. Nazajutrz jednak obydwójce mieli wolne, co nie zdarzało się często i dawało im sposobność, by spędzić czas w jakiś miły sposób. Jeszcze nie zdecydowali, co będą robili. Może wybiorą się na łyżwy w parku Boston Commons. Może pojadą na wycieczkę do Isabella Stewart Gardner Museum. A może będzie to jeden z tych leniwych dni, w jakie zazwyczaj wylegiwali się przytuleni na sofie, z wielką miską popcornu z masłem, i oglądali stare filmy.

Zaciśnięte na fajansowym kubku dłonie D.D. zdrząły. Dobra, bez popcornu.

Doliczyła do osiemnastu, dziewiętnastu, dwudziest...

Alex włożył rękawiczki, chwycił sfatygowaną aktówkę z czarnej skóry i podszedł do niej.

– Nie tęsknij za mną za bardzo – powiedział, całując ją w czoło.

Zamknęła oczy, wypowiadając w myślach liczbę dwadzieścia, po czym zaczęła odliczać w tył, od dwudziestu do zera.

– Cały dzień będę pisała do ciebie listy miłosne z małymi serduszkami zamiast kropek nad „i” – odparła.

– W twoim szkolnym segregatorze?

– Coś w tym rodzaju.

Alex cofnął się o krok. D.D. doliczyła do czternastu. Kubek

z kawą zadrżał w jej dłoniach, lecz Alex najwyraźniej tego nie zauważył. Westchnęła głęboko i dalej liczyła wytrwale. Trzy-
naście, dwanaście, jedenaście...

Spotykali się od przeszło pół roku. Na tym etapie miała do swojej dyspozycji całą szufladę w jego małym wiejskim domku, a jemu przypadł w udziale kącik w szafie w jej mieszkaniu na North End. Kiedy Alex prowadził zajęcia, było im wygodniej mieszkać tutaj. Kiedy ona pracowała, było im łatwiej żyć w Bostonie. Nie mieli ustalonego harmonogramu. Pociągało to za sobą konieczność planowania i jeszcze bardziej utrwalało ich związek, którego granic oboje starali się nie precyzować zbyt dokładnie.

Cieszyli się swoim towarzystwem. Alex respektował jej zwariowany tryb pracy detektyw wydziału zabójstw. Ona była pełna uznania dla zdolności kulinarnych Alexa, w którego żyłach od trzech pokoleń płynęła włoska krew. Widziała, że obydwójce nie mogą doczekać się wspólnego wieczoru, ale potrafili też przetrwać noce, które musieli spędzić osobno. Byli dwojgiem niezależnych i dojrzałych ludzi. Ona właśnie dobiła czterdziestki. Alex przekroczył tę granicę kilka lat wcześniej. Nie przypominali rozpalonych nastolatków, którzy całymi dniami myślą wyłącznie o sobie nawzajem. Alex był wcześniej żonaty. D.D. po prostu udało się uniknąć małżeństwa.

Żyła pracą, co niektórzy uważali za niezdrowe, ale do cholery z nimi. Jakoś udało się jej przetrwać.

Dziewięć, osiem, siedem...

Alex otworzył drzwi wejściowe i stanął twarzą w twarz z nieprzyjazną pogodą. Mroźny powiew przedarł się przez niewielki hol i D.D. poczuła zimno na policzkach. Zadrżała i jeszcze mocniej ścisnęła kubek.

- Kocham cię – powiedział Alex, przestępując próg.
- Ja ciebie też.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi, ruszyła pędem korytarzem do łazienki, by zwymiotować.

DZIESIĘĆ MINUT PÓŹNIEJ WCIĄŻ leżała rozciągnięta na podłodze łazienki. Miała przed oczami ozdobne płytki z lat siedemdziesiątych, dziesiątki małych beżowych, brązowych i złocistych kwadracików. Gdy na nie patrzyła, czuła, że znowu zbiera jej się na wymioty. Zauważyła jednak, że liczenie płytek jest całkiem niezłym ćwiczeniem medytacyjnym, oddawała mu się więc, czekając, aż ochłona jej policzki i rozluźni się skurczony żołądek.

Usłyszała dzwonek komórki. Spojrzała na wyświetlacz bez – co zrozumiałe, zważywszy na okoliczności – szczególnego zainteresowania. Potem jednak zobaczyła, kto dzwoni, i postanowiła się nad nim zlitować.

– Co jest? – zapytała.

Tymi słowami witała zwykle byłego kochanka, obecnie żonatego detektywa policji stanowej, Bobby'ego Dodge'a.

– Mam niewiele czasu. Posłuchaj uważnie.

– Nie siedzę w komendzie – odparła machinalnie. – Nowymi zgłoszeniami zajmuje się Jim Dunwell. Jemu zawracaj głowę.

Zmarszczyła czoło. Bobby nie zadzwoniłby do niej w sprawie śledztwa. Jako policjantka wydziału zabójstw dostawała wytyczne od dyspozytora z komendy miejskiej, a nie od detektywów z policji stanowej.

Bobby mówił dalej, jakby w ogóle nie dosłyszał jej słów.

– Mam tu niezły burdel, ale dam sobie głowę uciąć, że to nasz burdel, więc musisz mnie wysłuchać. Tuż obok siedzi szefostwo, naprzeciwko dziennikarze. Wejdiesz od tyłu. Nie spiesz się, obejrzyj wszystko dokładnie. Ja już straciłem orientację, a uwierz mi: w tym przypadku nie możemy sobie pozwolić na żadne przeoczenie.

D.D. jeszcze bardziej zmarszczyła czoło.

– Co jest grane, Bobby? Nie mam pojęcia, o czym mówisz,

nie wspominając już, że mam dzisiaj wolne.

– Już nie masz. Bostoński wydział zabójstw będzie chciał przydzielić tę sprawę kobiecie, a policja stanowa musi wcisnąć do ekipy kogoś od siebie, najlepiej byłego gliniarza z prewencji. Decyzja na górze zapadła i to właśnie my będziemy nadstawiać tyłki.

Usłyszała nowy dźwięk dobiegający z sypialni. Sygnał jej pagera. Szlag by to trafił! Wzywano ją, a to oznaczało, że w paplaninie Bobby'ego był jakiś sens. Powoli wstała, chociaż trzęsły jej się nogi i miała wrażenie, że znowu zwymiotuje. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby zrobić pierwszy krok, ale potem było łatwiej. Ruszyła w stronę sypialni. Już nieraz przepadł jej w ten sposób wolny dzień. A teraz stanie się to po raz kolejny.

– Co powinnam wiedzieć? – zapytała już bardziej rześkim głosem, przyciskając telefon do ucha ramieniem.

– Śnieg – wymamrotał Bobby. – Na ziemi, na drzewach, na oknach... Cholera. Wszędzie szwendają się gliniarze.

– Wywal ich stamtąd! Jeśli ja tu rządzę, wywal ich.

Sięgnęła po leżący na stoliku nocnym pager i spojrzała na wyświetlacz, po czym zaczęła ściągać dresowe spodnie.

– Trzymają się z dala od domu. Uwierz mi, nawet szefowie wiedzą, że nie należy zacierać śladów na miejscu przestępstwa. Ale nie wiedzieliśmy, że zaginęła dziewczynka. Mundurowi zaplombowali drzwi do domu, na podwórko może jednak wejść każdy. I teraz wszystko tam zadeptują. Nie mam żadnego punktu zaczepienia. Musimy go znaleźć.

D.D. zsunęła spodnie i zaczęła rozpinąć flanelową koszulę Alexa.

– Kto jest ofiarą?

– Czterdziestodwuletni biały mężczyzna.

– Kto zaginął?

– Sześćioletnia biała dziewczynka.

– Masz podejrzanego?

Nastąpiła długa pauza.

– Po prostu przyjedź – rzucił Bobby. – To sprawa dla ciebie i dla mnie. Nasze śledztwo, nasz problem. Musimy to szybko rozwiązać. – Po tych słowach się rozłączył.

D.D. spojrzała wściekle na komórkę i rzuciła ją na łóżko, by włożyć białą bluzkę.

No dobra. Jeden zabity i zaginione dziecko. Policja stanowa jest już na miejscu, ale to teren działania lokalnego wydziału zabójstw. Po co tu, do cholery, stanowa...

I wtedy, jak to wytrawna detektyw, D.D. połączyła wszystko w całość.

– O kurwa!

D.D. nie czuła już mdłości. Była wściekła. Zabrała pager, legitymację służbową i zimową kurtkę. A potem, z głową pełną informacji przekazanych przez Bobby'ego, zaczęła się przygotowywać, by stawić czoło temu, co zastanie na miejscu zbrodni.

Rozdział 2

KOGO KOCHASZ?

Poznałam Briana na ogrodowym przyjęciu z okazji Święta Niepodległości. W domu Shane'a. Zazwyczaj odrzucałam tego rodzaju zaproszenia, ale ostatnio uświadomiłam sobie, że nie powinnam robić tego bez zastanowienia. Jeżeli nie ze względu na siebie, to chociażby dla Sophie.

Przyjęcie nie było zbyt duże. Może ze trzydzieści osób czy coś koło tego: policjanci i kilka rodzin z sąsiedztwa. Zjawił się podpułkownik, co było poniekąd honorem dla gospodarza, ale większość zaproszonych stanowili funkcjonariusze ze służby patrolowej.

Zauważyłam, że obok grilla stoją czterej faceci z naszego komisariatu z butelkami piwa w dłoniach i dokuczają Shane'owi, który pieczołowicie układał na ruszcie nową partię kiełbasek. Dwoma piknikowymi stolikami na wprost nich zdążyły już zawładnąć roześmiane żony gliniarzy, które w przerwach między doglądaniem dzieci sęczyły margarytę.

Inni goście kręcili się po domu, by skosztować sałatki z makaronem czy obejrzeć ostatnie kilka minut meczu. Przerywali pogawędkę, żeby coś przekąsić albo się napić. Robili to, co zwykle robią ludzie w słoneczne niedzielne popołudnia.

Schroniłam się w cieniu starego dębu. Na prośbę Sophie włożyłam letnią sukienkę w pomarańczowe kwiaty i moje

jedyne eleganckie sandały w połyskliwie złocistym kolorze. Stałam plecami do drzewa na lekko rozstawionych nogach, przyciskając łokcie do nieuzbrojonych boków. Policjantka może chwilowo porzucić służbę, ale służba nigdy nie porzuca policjantki.

Wypadało mi wmieszać się w towarzystwo, nie wiedziałam jednak, od czego zacząć. Czy przysiąc się do nieznanym kobiet, czy zrobić coś, co przysłoby mi z większą łatwością, i zagadać do mężczyzn? Nieszczególnie odnajdywałam się w damskim gronie, ale nie mogłam też pokazać, że dobrze się bawię wśród facetów – wtedy ich żony przestałyby się śmiać i zaczęły piorunować mnie wzrokiem.

Trzymałam się więc na uboczu, z piwem, którego zresztą nie pijam, w ręce. Czekałam, aż impreza osiągnie etap, kiedy będę mogła kulturalnie się ulotnić.

Przez większość czasu przyglądałam się córce, która sto metrów dalej zanosila się od śmiechu, turlając się w dół trawiastego zbocza w towarzystwie kilkorga innych dzieci. Miała policzki umorusane czekoladą, a jej różowa sukienka była już cała w zielonych plamach. Zatrzymała się u podnóża wzniesienia, złapała za rękę stojącą obok dziewczynkę i obie wbiegły z powrotem na górkę tak szybko, jak tylko potrafiły ponieść je trzyletnie nogi.

Sophie zawsze błyskawicznie nawiązywała znajomości. Z wyglądu przypominała mnie, ale pod względem osobowości była zupełnie inna: towarzyska, śmiała i wylewna. Gdyby to zależało od niej, całe dni spędzałyby otoczona ludźmi. Prawdopodobnie dominował u niej gen odpowiedzialny za urok osobisty; musiała odziedziczyć go po ojcu, bo na pewno nie po mnie.

W towarzystwie nowej koleżanki wbiegła na wzniesienie. Pierwsza położyła się na trawie, a jej krótkie ciemne włosy wyraźnie kontrastowały z kępą żółtych mleczy. A potem zawirowały mi przed oczami jej pulchne ramiona i wierzgające

nogi; kiedy zaczęła toczyć się w dół, pod bezkresnym błękitem nieba rozbrzmiał jej dźwięczny śmiech.

Podniosła się oszołomiona i zauważyła, że się jej przyglądam.

– Kocham cię, mamusi! – krzyknęła i znów puściła się pędem pod górę.

Patrzyłam, jak biegnie, i nie po raz pierwszy pożałowałam, że nie było mi dane zdobyć wiedzy na temat tego wszystkiego, co kobieta taka jak ja wiedzieć powinna.

– CZEŚĆ.

Od grupki gości odłączył się jakiś mężczyzna i podeszedł do mnie. Na oko przed czterdziestką, metr osiemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt kilo wagi, krótko przycięte jasne włosy i umięśnione ramiona. Zważywszy na charakter przyjęcia, pomyślałam, że to gliniarz, ale nigdy wcześniej go nie widziałam.

Wyciągnął do mnie rękę. Ociągając się, podałam mu dłoń.

– Brian – przedstawił się. – Brian Darby. – Skinął głową w stronę domu. – Mieszkam przy tej samej ulicy. A ty?

– Tessa. Tessa Leoni. Znam Shane’a z pracy.

Czekałam na jeden z tych nieuniknionych komentarzy, jakie zawsze wygłaszali mężczyźni, dowiedziawszy się, że mają do czynienia z policjantką. „Jesteś gliną? To ja lepiej będę grzeczny”. Albo: „Och, a gdzie twój pistolet?”. A te i tak należały do najbardziej subtelnych.

Brian jednak tylko pokiwał głową. W jednej ręce trzymał butelkę Buda Light, a druga spoczywała w kieszeni jego paskowych szortów. Miał na sobie niebieską koszulę ze złotym emblematem na kieszonce, ale był do mnie zwrócony pod takim kątem, że nie byłam w stanie go zidentyfikować.

– Muszę ci coś wyznać.

Spięłam się w sobie.

– Shane powiedział mi, kim jesteś – kontynuował. – Ale

to moja zasługa, bo sam go o ciebie zapytałem. Piękna kobieta, która stoi samotnie. Warto było przeprowadzić małe rozpoznanie.

– I co ci powiedział?

– Że nie mam u ciebie żadnych szans. Oczywiście pokłnąłem haczyk.

– Shane plecie bzdury.

– Przeważnie tak. Nawet nie tknęłaś piwa.

Spojrzałam w dół, jakbym dopiero teraz zauważyła butelkę w mojej dłoni.

– To część rozpoznania – dodał Brian swobodnie. – Trzymasz piwo, ale go nie pijesz. Może wolałabyś margaritę? Mogę ci przynieść. Chociaż – spojrzał wymownie w stronę hałaśliwej gromadki kobiet, które były już po trzeciej kolejce i co chwilę zgodnie wybuchały śmiechem – trochę się boję.

– Nie ma sprawy. – Stałam swobodniej i rozluźniłam się. – Tak naprawdę nie piję.

– Masz służbę?

– Dziś nie.

– Nie jestem gliną, więc nie będę udawał zorientowanego, ale zadaję się z Shane'em od dobrych pięciu lat i mogę powiedzieć, że kojarzę zasady. Służba to znacznie więcej niż patrolowanie autostrad i wypisywanie mandatów. Mam rację, Shane? – Brian podniósł głos, by można go było usłyszeć na patio, gdzie funkcjonariusze policji stanowej tradycyjnie utyskiwali na robotę.

Shane w odpowiedzi uniósł prawą dłoń i pokazał sąsiadowi środkowy palec.

– Shane to malkontent – powiedziałam równie donośnym tonem.

Kolega obdarzył mnie takim samym gestem. Kilku faceków parsknęło śmiechem.

– Od dawna z nim pracujesz? – zapytał Brian.

– Od roku. Jestem nowa.

– Naprawdę? Dlaczego postanowiłaś zostać gliną?

Wzruszyłam ramionami. Znowu poczułam się skrępowana. Było to jedno z tych pytań, które zadawali mi wszyscy, a ja nie wiedziałam, co na nie odpowiedzieć.

– Wydawało mi się wtedy, że to niezły pomysł.

– A ja pracuję w marynarce handlowej – oznajmił Brian.
– Na tankowcach. Wypływam na kilka miesięcy, potem kilka miesięcy w domu i znowu w rejs. Ta robota rozwała życie osobiste, ale i tak ją lubię. Nigdy się nie nudzę.

– W marynarce handlowej? A czym się zajmujesz... Ochroną przed piratami czy czymś w tym rodzaju?

– Nie. Pływamy z zatoki Puget na Alaskę i z powrotem. Na tym odcinku rzadko pojawiają się somalijscy piraci. A poza tym jestem inżynierem. Dbam o to, żeby na statku wszystko działało. Lubię przewody, zębatki i wirniki. Spluwy budzą we mnie przerażenie.

– Ja też niespecjalnie za nimi przepadam.

– Zabawne podejście, jak na policjantkę.

– Czy ja wiem? – Automatycznie skierowałam wzrok w stronę Sophie, by sprawdzić, co robi.

Brian podążył za moim spojrzeniem.

– Shane mówił, że masz trzyletnią córeczkę. Wykapana mama. Nie ma szans, żebyś przez pomyłkę zabrała do domu inne dziecko z tej imprezy.

– Shane powiedział ci, że mam dziecko, a ty mimo to pokłknęłaś haczyk?

Brian wzruszył ramionami.

– Dzieci są fajne. Nie mam swoich, co nie znaczy, że mam coś przeciwko nim – odparł, po czym zapytał od niechcenia: – Jakiś ojciec na horyzoncie?

– Nie.

Nie wyglądał na uradowanego tą wiadomością, popadł raczej w zadumę.

– Musi być ci ciężko: służyć w policji i wychowywać

dziecko.

– Dajemy radę.

– Nie wątpię. Mój ojciec umarł, kiedy byłem chłopcem. Zostawił matkę samą, z pięciorgiem dzieciaków na głowie. Też daliśmy sobie radę i podziwiam ją za to.

– Co się stało z twoim ojcem?

– Atak serca. – Wskazał głową w stronę Sophie, która teraz bawiła się w berka. – A co się stało z jej ojcem?

– Wybrał lepszy model.

– Faceci to durnie – mruknął z tak szczerym przekonaniem, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Zarumienił się. – Mówiłem ci, że mam cztery siostry? Jak ma się cztery siostry, dzieją się różne rzeczy. Dlatego mojej matce należy się podwójny szacunek, nie tylko za to, że dała sobie radę, wychowując nas samotnie, ale też że dała sobie radę jako samotna matka czterech córek. I nigdy nie widziałem, żeby piła coś mocniejszego od ziołowej herbaty. Wyobrażasz sobie?

– Twarda kobieta – przyznałam.

– Skoro nie chcesz piwa, to może też jesteś amatorką ziołowych herbatek?

– Kawy.

– Ach, to moja ulubiona używka. – Spojrzał mi w oczy. – Może więc, Tesso, pewnego popołudnia mógłbym cię zaprosić na filiżankę? W twojej albo w mojej okolicy. Tylko daj mi znać.

Znów przyjrzałam się uważnie Brianowi Darby'emu. Ciepłe brązowe oczy, beztrojski uśmiech, muskularne ramiona.

– Dobrze – usłyszałam własną odpowiedź. – To niezły pomysł.

WIERZycie w miłość od pierwszego wejrzenia? Ja nie. Jestem zbyt wykształcona, zbyt roztropna na takie bzdury. A może po prostu się tego wystrzegalam.

Umówiłam się z Brianem na kawę. Okazało się, że kiedy

nie jest na morzu, jest panem swojego czasu. Dzięki temu mogliśmy się spotkać pewnego popołudnia, gdy już zdążyłam dojść do siebie po nocnej zmianie, a jeszcze nie musiałam odbierać Sophie z przedszkola. Potem, w wolny od służby wieczór, poszliśmy na mecz Red Soxów i zanim się zorientowałam, Brian wybrał się ze mną i z Sophie na piknik.

Sophie zakochała się w nim natychmiast. W ciągu kilku sekund wspięła mu się na plecy i zażądała przejażdżki. Brian posłusznie ruszył galopem przez park z wczepioną w jego włosy piszczącą trzylatką, która z całych sił krzyczała: „Szybciej!”. Po tej zabawie padł na koc, a Sophie poszła zrywać mleczce. Spodziewałam się, że wręczy je mnie, ale podeszła do Briana.

Niepewnie przyjął kwiaty, a kiedy w końcu uświadomił sobie, że dziecienny bukiet jest przeznaczony właśnie dla niego, cały się rozpromienił.

Wygodniej było nam spędzać weekendy w jego domu, który w przeciwieństwie do mojego ciasnego dwupokojowego mieszkania miał prawdziwy ogród. Razem przygotowywaliśmy kolacje, podczas gdy Sophie biegała wokół domu z psem Briana, leciwym owczarkiem niemieckim o imieniu Duke. Brian kupił plastikowy dziecięcy basenik i zawiesił huśtawkę na konarze starego dębu.

W pewien weekend, kiedy utknęłam w pracy, przyjechał i zrobił w mojej lodówce zapasy wystarczające dla mnie i dla Sophie na cały tydzień. A jednego wieczoru, kiedy po wezwaniu do wypadku, w którym zginęła czwórka dzieciaków, wpatrywałam się w ścianę sypialni, z trudem utrzymując głowę w pionie, czytał Sophie bajkę na dobranoc.

Potem siedziałam przytulona do niego na kanapie, a on opowiadał mi o swoich czterech siostrach, między innymi o tym, jak kiedyś zdybały go śpiącego na sofie i zrobiły mu makijaż. Dwie godziny jeździł na rowerze po okolicy z błękitnymi cieniami na powiekach i różową szminką na ustach, zanim przypadkiem zauważył swoje odbicie w jakimś oknie.

Śmiałam się z tej historii. A potem się rozplakałam. Objął mnie mocniej i obydwójce milczeliśmy.

Minęło lato. Nastąpiła jesień i przyszedł czas rozstania. Wypływał w rejs na osiem tygodni i miał wrócić, jak mnie zapewniał, akurat na Święto Dziękczynienia. Duke'a zawsze zostawiał u przyjaciela, ale gdybyśmy zechcieli...

Wręczył mi klucz do swojego domu. Mogłyśmy tam zamieszkać. A nawet, jeśli miałybyśmy na to ochotę, urządzić wewnątrz w dziewczęcym stylu. Może trochę różowych akcentów w drugiej sypialni przeznaczonej dla Sophie? Może jakieś obrazki na ścianach? Gumowe kaczuszki w łazience? Cokolwiek, bylebyśmy czuły się swobodnie.

Pocałowałam go w policzek i wsunęłam klucz z powrotem w jego dłoń.

Zapewniłam go, że Sophie i ja czujemy się u siebie świetnie. Zawsze tak było i zawsze będzie. Do zobaczenia za osiem tygodni.

Za to Sophie płakała i płakała, i płakała.

Próbowałam jej wytłumaczyć, że to tylko dwa miesiące. Tyle co nic. Minie, zanim się obejrzy.

Kiedy zabrakło Briana, życie stało się bezbarwne. Niekończący się kierat: wstawałam o pierwszej po południu, o piątej odbierałam córkę z przedszkola i zabawiałam ją do wieczora, by o dziewiątej ułożyć do snu. O dziesiątej przychodziła pani Ennis, bym mogła iść na służbę od jedenastej do siódmej rano. Życie samotnej pracującej matki. Zmagania, by powiązać jakoś koniec z końcem, mnóstwo spraw do załatwienia w przeładowanym planie dnia i usilne starania, by zadowolić przełożonych, a jednocześnie zaspokoić potrzeby dziecka.

Powtarzałam sobie, że potrafię temu sprostać. Że jestem twarda. Samotnie przetrwałam całą ciążę. Sama urodziłam. Zniosłam dwadzieścia pięć długich, samotnych tygodni w akademii policyjnej, usychając z tęsknoty za Sophie. Nie zamierzałam się jednak poddać, ponieważ uznałam karierę

funkcjonariuszki policji stanowej za najlepszy sposób na zapewnienie przyszłości córce. Co piątek mogłam wrócić wieczorem do domu, żeby zobaczyć się z Sophie, ale też w każdy poniedziałkowy rano musiałam zostawiać ją zapłakaną z panną Ennis. Mijały kolejne tygodnie, a ja czułam się tak przytłoczona, że coraz bardziej chciało mi się wyć. Ale udało mi się. Robiłam to wszystko dla Sophie. Zawsze dla niej.

Mimo to zaczęłam częściej sprawdzać pocztę elektroniczną, bo kiedy Brian był w porcie, przysyłał mi krótką wiadomość albo załączał śmieszne zdjęcie przedstawiające łosia na środku ulicy w jakimś miasteczku na Alasce. Po sześciu tygodniach uzmysłowiłam sobie, że jestem szczęśliwsza w te dni, kiedy do mnie pisze, i bardziej spięta, gdy nie dostaję od niego żadnej wiadomości. Sophie reagowała tak samo. Zasiadałyśmy co wieczór przed komputerem – dwie piękne dziewczyny czekające na wiadomość od adoratora.

A potem nareszcie zadzwonił. Jego statek zawinął do portu w Ferndale w stanie Waszyngton. Powiedział, że pojutrze będzie wolny i złapie nocny samolot do Bostonu. Pomyślałam, że może zaprosiłby nas na kolację.

Sophie wybrała swoją ulubioną granatową sukienkę. Ja włożyłam tę pomarańczową, którą miałam na sobie podczas lipcowego przyjęcia, tyle że ze względu na listopadowe chłody narzuciłam na nią sweter.

Sophie, która czuwała na posterunku przy frontowym oknie, zobaczyła go pierwsza. Zapiszczała z radości i zbiegła na dół po schodach tak szybko, że bałam się, by nie upadła. Brian ledwie zdołał ją złapać na końcu chodnika. Porwał ją na ręce i zakręcił w powietrzu. A ona śmiała się i śmiała, i śmiała.

Ja zachowałam się spokojniej; zwlekałam do ostatniej chwili, by poprawić jeszcze fryzurę i zapiąć guziki swetra. Potem stanęłam we frontowych drzwiach apartamentowca i zamknęłam je za sobą.

Obróciłam się i spojrzałam na niego. Przyglądałam mu się

uważnie z odległości czterech metrów. Upajałam się jego widokiem.

Brian przestał wirować z Sophie. Stał na końcu chodnika, wciąż trzymając w ramionach moje dziecko, i też pochłaniał mnie wzrokiem.

Nie padliśmy sobie w objęcia. Nie odezwaliśmy się ani słowem. Nie musieliśmy tego robić.

Później, po kolacji, kiedy zabrał nas do siebie i ułożyłam już Sophie do snu, weszłam do jego sypialni, stanęłam przed nim i pozwoliłam, by zsunął sweter z moich ramion i zdjął ze mnie sukienkę. Położyłam dłonie na jego nagiej piersi. Poczułam słony smak na jego szyi.

– Osiem tygodni to zbyt długo – zamruczał niskim tonem. – Chcę, żebyś tu zamieszkała. Chcę wiedzieć, że wracam do domu, gdzie zawsze na mnie czekasz.

Poczułam na piersiach dotyk jego dłoni.

– Wyjdź za mnie – wyszeptał. – Mówię poważnie, Tesso. Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę, żeby Sophie była moją córką. Żebyście zamieszkały ze mną i z Dukiem. Żebyśmy byli rodziną.

Znów dotknęłam ustami jego skóry, zsunęłam rękę wzdłuż jego ciała, przylgnęłam do niego cała. Ta bliskość przyprawiła mnie o dreszcze. Ale to mi nie wystarczało. Pragnęłam jego dotyku, jego ciężaru, pragnęłam mieć go w sobie. Pragnęłam go wszędzie, w tej chwili, natychmiast.

Pociągnęłam go na łóżko i opłotłam nogami jego biodra. Gdy wśliznął się we mnie, jęknęłam. A może to on zajęczał? Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Znalazł się tam, gdzie pragnęłam, żeby był.

W ostatniej chwili ujęłam jego twarz w dłonie, tak by móc spojrzeć mu w oczy w chwili, kiedy zaczęły przenikać nas pierwsze fale rozkoszy.

– Wyjdź za mnie – powtórzył. – Będę dobrym mężem, Tesso. Zaopiekuję się tobą i Sophie.

Poruszył się we mnie, a ja odpowiedziałam:

– Dobrze.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).